Ilustrowany
KURJER POLSKI

„Dziki Ptak z Ara-Tua"
oto nasza nowa powieść
w następnym numerze







DEFILADA WOJSKOWA W ANKARZE

Na pamiątkę rocznicy wielkiego zwycięstwa wojsk tureckich odniesionego nad Grecją w roku 1922 pod Pumli Pinar odbyła się w stolicy Turcji defilada wojskowa, w której wzięły udział jednostki wojska tureckiego i marynarki. Nasza ilustracja przedstawia oddziały marynarki tureckiej maszerujące przed trybunami.

DOSKONAŁE POROZUMIENIE

Żołnierze niemieccy z pancernego wozu wywiadowczego w miłej pogawędce ze starym wieśniakiem w jednej ze wsi na Wschodzie.

Fot. Ass. Press (7)
Atlantic (2)
Scherl (2)

U dołu:

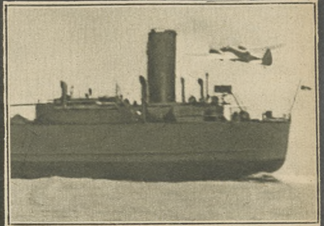
DEFILADA WOJSK RUMUŃSKICH W OSWOBODZONYM KISZYNIEWIE W BESSARABII

Uszczęśliwiona ludność obsypywała żołnierzy rumuńskich tyloma kwiatami, że kroczyli jakby po kobiercu kwietnym.

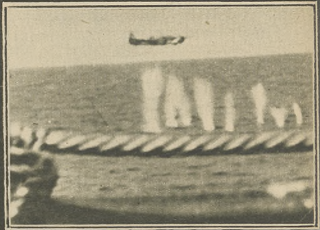




BOMBOWIEC ANGIELSKI ATAKUJE KONWÓJ NIEMIECKI I ZOSTAJE ZNISZCZONY



W locie nurkowym zbliżał się brytyjski bombowiec do niemieckiego okrętu cysterny. Podczas gdy obrona ostrzeliwuje Anglików, bomby spadają za pokładem w morze.



Bombowiec otrzymał właśnie ciężkie uszkodzenie, zrzuca ostatnie bomby zmuszony do tego koniecznością i...



...płonąc spada o kilkaset metrów przed zaatakowanym okrętem.



BOMBOWCE NISZCZĄ NIEPRZYJACIELA

Mistrzowski rzut jednego z niemieckich samolotów Stuka na most w Sowietach odciął Rosjanom możność cofnięcia się.



WALKA W LASACH NA FRONCIE PÓŁNOCNYM

Żołnierze fińscy ćwiczą w postawie pochylonej, niosąc rozłożony karabin maszynowy, zmianę pozycji w terenie walki.

U dołu:

Berlin, Norymberga, Monachium byłyby w rękach Sowietów... gdyby bolszewicy zdobyli taką samą olbrzymią przestrzeń, którą zdobyły wojska niemieckie w Rosji. Mapa daje nam poglądowo porównanie i pokazuje imponującą wielkość zdobytej przestrzeni odpowiadającej swą wielkością Rumunii, Węgrom i 2/3 Rzeszy.

Mapka z „Kolnische Illustrierte"





Powyżej:

OKO ARTYLERII

Balon niemiecki na uwięzi w pierwszej linii bojowej. Ciągnięty przez wozy motorowe ma on możność ustawicznej zmiany pozycji. Według jego obserwacji celuje artyleria.

SPORTOWIEC FIŃSKI NA FRONCIE

Jest nim mistrz w dziesięcioboju Achilles Jaervinen, który znajduje się obecnie jako żołnierz na froncie sowiecko-fińskim w Karelii i opłakuje śmierć swego brata Kalle Jaervinen, który poległ.





KONIEC KRĄŻOWNIKA SOWIECKIEGO Z MINAMI „KAROL MARKS"

Na ilustracji naszej widzimy resztki krążownika sowieckiego zniszczonego przez bomby samolotów niemieckich.





Ręce do góry!

WOZY PANCERNE OCZYSZCZAJĄ ŁANY ZBOŻA

Ze wszystkich części frontu wschodniego nadchodzą ustawicznie komunikaty o wzięciu do niewoli wojsk bolszewickich wszelkiego rodzaju broni. Na naszym zdjęciu widzimy, jak żołnierze sowieccy, otoczeni przez niemieckie wozy pancerne, mając zagrodzoną zewsząd drogę do ucieczki, biegną do niewoli z podniesionymi rękami.

Fot. Ass. Press (4)
Scherl (3)
Weltbild
Atlantic



BIAŁA CHORĄGIEW NA DNIEPRZE

Po zajęciu ważnego przemysłowego portu Cherson w południowej Ukrainie przez wojska niemieckie, żołnierze sowieccy przepływają gromadami Dniepr w łodziach, by pod osłoną białej chorągwi dostać się do niewoli.



„JESTEM PRZYJACIELEM ROTSCHILDA"

Tak wołał ten żyd do żołnierzy niemieckich, gdy go brali do niewoli. Ciekawe czy kapitalista Rotschild będzie wdzięczny za to, by taki plugawy żyd uważał go za swego przyjaciela.

WYKURZENI!

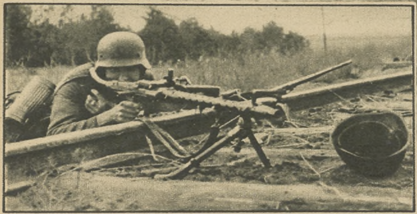
Resztki rozbitych dywizji bolszewickich sądzą, że w olbrzymich lasach Rosji znajdą pewną kryjówkę. Ale lasy są systematycznie przeszukiwane. Tu np. ogień wzniecony przez samych bolszewików zmusił ich do opuszczenia lasu.

DO ATAKU!



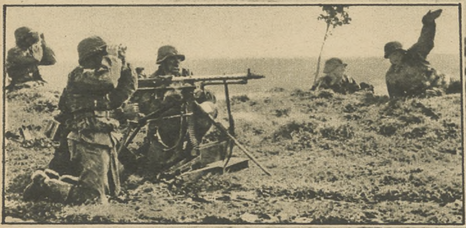
PRZEZ PALĄCĄ SIĘ WIEŚ

Zaraz na początku ataku podpalili bolszewicy wieś. Ale także płonące domy nie stanowią przeszkody dla posuwających się naprzód żołnierzy niemieckich. Drugi żołnierz na prawo, z kamerą fotograficzną w ręce, jest niemieckim sprawozdawcą wojennym.



PIECHOTA ATAKUJE

Zaledwie dzień nastaje rozpoczyna piechota niemiecka atak. Z pistoletów maszynowych ostrzeliwują tu bolszewików żołnierze niemieccy z za lekkiej osłony nasypu kolejowego.



KARABIN MASZYNOWY DAJE OGNIA

I znów Niemcy posunęli się kawałek naprzód. Teraz strzela karabin maszynowy, by wyrzucić bolszewików z ich pozycji.



UWAGA! WYDAWANIE ROZKAZÓW!

Niemiecki dowódca baterii wydaje przez tubę rozkaz ataku. Wkrótce rozpocznie się atak na czerwony front. Na ziemi siedzi łącznik, który przejmuje wiadomości nadawane telefonicznie. Z precyzją mechanizmu zegarowego zazębia się o siebie potężna maszyneria wojska niemieckiego.



ZDOBYWANIE WSI

Aż do samych ogrodów dotarł niemiecki oddział wywiadowczy. W tym momencie rozpoczął nieprzyjaciel ogień. Błyskawicznie kładą się żołnierze na ziemię i już mają karabiny w pogotowiu. Podczas gdy huraganowy ogień przechodzi nad ich głowami, skierowują ogień swych rewolwerów maszynowych na przeciwnika, aż się podda.

BUDDA

...Ziściła się jedna z licznych reinkarnacji Buddy i mizerna dłoń ludzka zaklęła go w maleńką bryłkę rzeźbioną w kości słoniowej.

Siedział więc sobie Mędrzec w oświetlonym oknie wystawowym Bezego, czy też innego „Bijou"'isty i spoglądał wszystkowidzącymi oczyma w nieokreśloność Istoty Wszechrzeczy.

Aż jakaś zuchwała dłoń chwyciła brutalnie kościaną — łysinką świecącą główę — ...i oto znalazł się obok kilku innych cudów z kości i porcelany przed dwojgiem oczu, błyszczących podnieceniem:

„Hm! Może by nawet i Buddę...! Niech będzie Budda."

Ciepła dłoń zacisnęła się wokół owiniętego w bibułkę Mędrca. W zarękawku było zupełnie ciemno, ale trwało to niedługo, potem Budda został troskliwie odwinięty i — usłyszał... modlitwę — nie modlitwę, było to zbyt zuchwałe, aby tak można nazwać:

„Buddo! Poczciwy Staruszku! Nie — Buddo — potężny — przemądry!! Spraw swoim zaklęciem najczarowniejszy cud w sercu, które jest chłodne jak fale Gangesu!"

I dwoje oczu mrugnęło porozumiewawczo do zgorszonego tą poufałością Wszechmędrca a uśmiechnięte usta cmoknęły lśniącą łysinkę.

Pan Ryszard przyszedł do biura w fatalnym humorze. Bo to i wczoraj nie spotkał się (a tyle sobie po tym spotkaniu obiecywał) i do tego ta... psiakrew grypa i jeszcze wiele, wiele innych rzeczy psuło jasny pogląd na świat.

Schował nos w jedwabną chustkę w nagłym przeczuciu kichnięcia i — nie kichnął.

Budda?

Tak! Siedział sobie mały cudak, nawet dosyć podle rzeźbiony i wcale nie w kości słoniowej tuż przy kałamarzu na biurku i — patrzył.

Dowcip, czy co?

Piękny pan zdenerwował się nagle i — wsunął „tę maszkarę" głową na dół do kieszonki marynarki.

Ale czar zaczął działać.

Przez cały dzień jak niezdeklarowany ból zęba dręczyła go niepewność, „Kto, a raczej która?".

Nic nie pomogło trzeźwe perswadowanie samemu sobie, że — cóż go to może obchodzić — takie nic.

„No, bo któraż? Czy mała gąska z słodkimi dołeczkami, Inka, czy miła „kochana dziewczynka", Janka?"

No, bo Ewa na pewno nie! Jest „dobrym kolegą", ale to chyba dziewczyna bez sentymentu! Nie! To wcale nie podobne do niej.

Wieczorem zapomniał o Buddzie.

„Przepijał grypę" w towarzystwie pięknej blondynki (kochał blondynki, co nie przeszkadzało mu ubóstwiać brunetki oraz pokrewne „maści").

Nastrój dochodził do punktu kulminacyjnego — oto pan Ryszard tulił czule jasną główkę, gdy...

Złośliwy Budda przypomniał o swoim istnieniu, zostawiając na różowej buzi długą czerwoną kresę. To jedna z jego podkulonych stóp przebiła marynarkę w tak ważnym dla pana Ryszarda momencie życiowym.

O nastroju nie było już oczywiście mowy.

Pan Ryszard, siedząc samotnie, zalewał robaka a naprzeciw niego, przy talerzyku z przekąskami przycupnął sprawca nieszczęścia — Budda.

„Czymże są kobiety?" — pytały dwa uśmiechnięte szyderczo punkciki — oczy Mędrca. — Są bardziej tajemnicze i niezbadane, niż dżungle nad świętym Gangesem. — Niedocieczone, jak tajemnice wszechbytu! Ich miłość mniej jest trwała, niż wątły kwiat lotosu. Znajdź jedną, której nie odstraszałyby kolce drogi Twego życia, a osiągniesz największe szczęście istnienia!"

„Racja! — Zgodził się pan R. — Panie starszy — płacić!"

Po chwili był już na ulicy. Wypity alkohol szumiał w głowie a dowcipnis księżyc pląsał po niebie, pożerając „przydrożne" chmurki. Latarnie kołysały się w takt muzyki dobiegającej przez przymykające się już drzwi restauracji.

Jak to ten Budda...? Acha, że kobiety, to jak lotos w... dżungli.

Budda jest? — Siedział w kieszeni.

Wędrowali sobie obaj przez puste ulice bez celu. Pan Ryszard nie mógł znaleźć własnego mieszkania. I byłoby się kto wie gdzie to wszystko skończyło, bo już zamajaczył za którymś zakrętem granatowy groźny mundur i usłyszał: „Co pan robi w nocy, na ulicy, w takim stanie?" — gdyby nie słowa, które padły z dorożki, która zatrzymała się tuż przy nim.

„Ryśku! Szukam cię przez cały wieczór! Panie posterunkowy to mój... mąż."

Zdumiony delikwent znalazł się nagle w dorożce i w niespodziewanie znalezionej „żonie" poznał... Ewę.

„Przejeżdżałam właśnie od znajomych do domu i dzięki temu mogłam w porę wyciągnąć pana z tarapatów."

Pan Ryszard wytrzeźwiał nagle zupełnie.

Było mu wstyd i — głupio jakoś. Milczał więc wtulony w kąt dorożki.

Gdy przyjechał przed dom Ewa powiedziała:

„No, teraz niech sobie pan już sam radzi. Dobranoc!"

A kiedy już stał przed bramą dodała ze śmiechem:

„I niech pana Budda lepiej prowadzi!"

Więc to jednak ona!

Stał długo przed bramą, mimo, że dorożka zniknęła za zakrętem.

„Alez jestem bałwan! Ale od jutra będzie inaczej!"

A Budda w kieszeni marynarki odpowiedział na to postanowienie mądrym — wszystko wiedzącym uśmiechem.

Z. TERL.

IDEALNA ŻONA

Małżeństwo jest niczym innym, tylko nagminną chorobą, która nawiedza ludzi w pewnym wieku. Objawy są podobne zresztą jak u grypy: zawroty głowy, gorączka, skurcze serca, niewytłumaczone napady radości lub melancholii. Od tysięcy lat ludzie głowią się nad tą chorobą, stosują różne leki i nic dotychczas nie wymyślili poza małżeństwem. Oczywiście, że jest to lekarstwo bardzo wątpliwe, gdyż powtarzanie go połączone jest z pewnymi trudnościami, ale jak dotychczas nie ma nic poza tym. Nie jest ono tak wstrętne, jak np. olej rycynowy, ale nie wiele też lepsze.

Co to jest idealna żona? Jak zdobyć taki klejnot? Gdzie żyją takie żony? — zapytuje się w pewnym wieku każdy mężczyzna, któremu obrzydła restauracyjna kuchnia, odlatujące od ubrania guziki, niepocerowane pończochy, dymiące piece, okradające go służące, przypalone pieczenie i zważone mleko. Wtedy też szuka żony i znajduje to, co chciał. Właściwie nie należy żałować człowieka, który ma złą żonę: widocznie na nią zasłużył.

Niedawno temu podsłuchałem następującą rozmowę między dwoma przyjaciółmi:

— Podobno się ożeniłeś? — pyta jeden. — Jak ci się powodzi teraz w „staniku" małżeńskim?

— Trudne zadajesz pytanie. Bo jest mi bardzo dobrze i bardzo źle.

— Jakto? — pyta przyjaciel numer pierwszy.

— Po prostu — odpowiada przyjaciel numer dwa. — Moja żona jest osobą bardzo piękną. Wenus Milońska jest, porównana z nią, maszkarą. Ale jest też osobą wykształconą, zna wiele rzeczy, gra na skrzypcach, zna filozofię buddyjską, umie kłaść pasjanse, rozumie się na polityce, historii, bo ja wiem na czym jeszcze. A poza tym jest bardzo gospodarna. Umie gotować świetny obiad, umie pięknie rozdzielić mięso nawet żylaste, wie jak ma być przygotowany befsztyk a la Nelson czy też ryż a la Trauttmansdorff. Dogląda kuchni, prowadzi dokładne rachunki z kuchtą, oszczędza...

— No, to świetnie! Powinieneś być szczęśliwy, jak szczygieł. Toć to istny ideał! — mówi pan numer dwa.

— Oczywiście, oczywiście, wszyscy mi to mówią. Ale widzisz jestem podejrzliwy. Nie wierzę po prostu w ideały. Powiedziałem sobie: może być mądra, piękna, nawet dobrą gospodynią, ale w końcu jakieś wady musi mieć. I zacząłem szukać tej wady. Myślę sobie: napewno jest kłótliwa. Zaczynam taką i inną pogawędkę, staram się ją wyprowadzić z równowagi, przeczę jej — nic! Wytrzymuje wszelkie próby i zgadza się ze mną. Próbuję z innej beczki. Jest zapewne niewierna. Sprowadzam pięknych, miłych, eleganckich przyjaciół, zostawiam ją sam na sam z nimi, sam się ulatniam i wracam po kilku godzinach. Okazuje się, ze rozmawiali o filozofii, o astronomii czy czymś innym i nawet marny, zdawkowy pocałunek nie padł między nimi. Dębieję! Cóż wkońcu u diabła? Jakież ona ma wady? Jeszcze innych chwytam się sposobów: może jest plotkarką? Powtarzam jej złośliwe opowiastki o jej przyjaciółkach i potem śledzę czy je powtórzyła. Okazuje się, że milczy jak grób, a nawet bierze w obronę te przyjaciółki. I tu niepowodzenie! Straszne! Nie wiadomo już, czego z taką kobietą można się spodziewać.

Przyjaciel numer drugi zadumał się głęboko nad tą skomplikowaną sprawą i zapytał:

— No i co wkońcu wyszło z tych twoich prób nad idealną żoną? Wpadłeś wkońcu na trop jej złych stron chatakteru?

— Właśnie że nie! Ciągle jeszcze staczam ze sobą walkę wewnętrzną: serce każe mi jej wierzyć a rozum mówi, że to niemożliwe. A poza tym wszystkim jest to osoba bezinteresowna, uczciwa, poświęcająca się, życzliwa, miłosierna, cicha, a równocześnie umiejąca i mogąca dobrze mówić i opowiadać. Po prostu nie wiem. I już zaczynam tracić nadzieję...

— Jakto? Tracić nadzieję? Na co? — pyta pan numer dwa.

— No, po prostu na znalezienie jakiegoś słabego punktu w jej charakterze. Pomyśl tylko, jakie to upokarzające i przykre: ty masz całą masę tych wad, różnych grzeszków słabych stron, a twoja życiowa partnerka ani jednej. Jaka to dysproporcja! Człowiek we własnym domu nie śmie się pokazać. A poza tym jakie to męczące! Coś strasznego! Cały czas trzeba grać komedię, aby jej dorównać, bo inaczej czujesz, że ona na ciebie spojrzy z góry, uśmiechnie się z politowaniem i w ogóle może cię jednym słowem zabić. Trudno to długo wytrzymać.

— Powinieneś być szczęśliwym i wdzięcznym losowi za to, że masz taką dobrą żonę.

Ale jegomość numer jeden kiwa tylko głową i odpowiada.

— Wręcz przeciwnie, jeżeli nie okaże się, że ma choć jedną wadę, rozwiodę się z nią. Dłużej takiej perfekcji nie wytrzymam. Przecież nie ożeniłem się z ideałem, tylko z żywym człowiekiem. A my ludzie, jak wiadomo, mamy wady...

K. L.

Tak późno, przyjacielu?

Wiemy, że papugi potrafią mówić. Właściwie może by było lepiej powiedzieć: kląć. Znamienną bowiem jest rzeczą, że mówić językiem ludzi dobrze wychowanych nie bardzo mają ochotę, za to lubują się w naśladowaniu języka marynarzy, którzy najczęściej przywożą te ptaki ze swych podróży i uczą je swych ulubionych zwrotów. Zdarza się też nieraz, że papugi niechętnie popisują się swym talentem wobec ludzi, używają sobie natomiast, kiedy są same. Nikt by nie przypuszczał jednak, że papuga odegrać może rolę anioła stróża, jak to nam podaje następująca krótka historyjka:

Do pewnej willi niedaleko St. Angelo, we Włoszech, zakradł się około północy złodziej. Po zwiedzeniu kilku pokojów i wybraniu rzeczy przedstawiających największą wartość, wszedł złodziej na piętro, do sypialni pani domu. W pokoju było ciemno. Kiedy złodziej przestąpił próg pokoju, powitał go jakiś głos słowami: „Tak późno, przyjacielu?" Złodziej tak przestraszył się powitania, że wyleciał na łeb, na szyję z pokoju i z willi i przytem wpadł w ramiona prawdziwego stróża, obchodzącego dom. Na rozprawie złodziej pienił się ze złości, dowiedziawszy się, że aresztowanie swoje zawdzięcza on tylko papudze.

AMERYKA ZBIERA GARNKI ALUMINIOWE

Ameryka wciąż się szczyci, że jest pod względem surowców najbogatszym krajem na świecie. Podkreśla się przy każdej sposobności, że Ameryka jest prawie niewyczerpanym źródłem wszelkiego rodzaju zapasów. Jak jednak bogactwo może się stać przekleństwem widzimy choćby po tym, że ustawicznie kawa, pszenica i kukurydza są palone lub wrzucane w morze, ponieważ z jednej strony nie wprowadzono równowagi między produkcją a konsumpcją i ponieważ z drugiej strony nie można przeprowadzić planowego zarządu dobrami i ich podziału między potrzebujących, wskutek supremacji kapitalistycznych interesów jednostek nad potrzebami ogółu.



W ten sposób wciąż istnieją luki w zaopatrywaniu. I brak aluminium, na czele produkcji którego stoją obecnie Niemcy, zmusza Amerykę do zabierania gospodyniom naczyń kuchennych ze szaf, by stworzyć ilości aluminium niezbędne do budowy samolotów. Ale co się stanie wtedy, gdy po zamianie wszystkich garnków aluminiowych na części samolotów, zabraknie jeszcze materiału? Ameryka jest więc również w sensie ujemnym krajem „nieograniczonych możliwości".

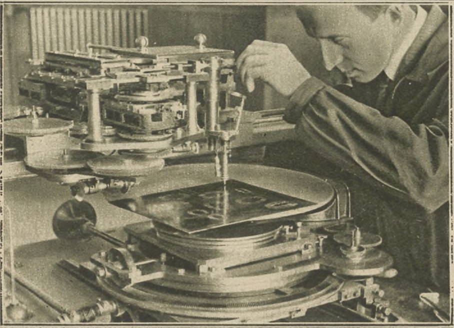


GRUNT TO FORSA!

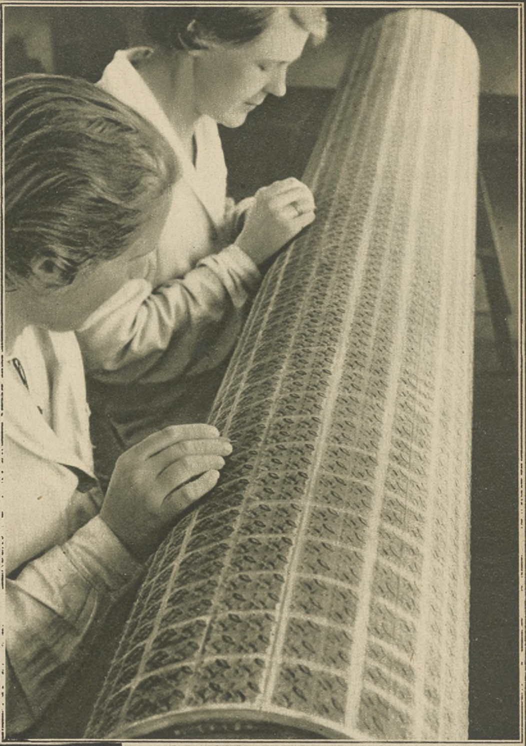
Z dniem 8 września bieżącego roku stał się złoty prawnie ustalonym środkiem płatniczym w dystrykcie Galicji. Przez to stworzono jasność co do waluty także w tej części Generalnego Gubernatorstwa. Przypomnijmy sobie te czasy, gdy po ukończeniu wojny niemiecko-polskiej krążyło wiele rodzajów monet w Generalnym Gubernatorstwie: marka niemiecka, banknoty Kasy Kredytowej, stare złote polskie, ruble sowieckie i nawet ruble z czasów carskich, które oszuści znów wydobyli na światło dzienne, by je sprzedać korzystając z zamieszania stosunków. Rząd polski chcąc ułatwić sobie finansowanie wojny, kazał w miesiącach sierpniu i wrześniu wybić więcej banknotów, niż to było prawnie zastrzeżone. Fałszerze pieniędzy wierzyli w możliwość dobrego zarobku. Gdy w Poznańskim, Gdańsku i Prusach Zachodnich marka niemiecka stała się oficjalnym środkiem płatniczym, a w dawnej części Polski, zajętej przez Sowiety wprowadzono ruble, wtedy to napłynęło wiele złotych w banknotach przez granice do Generalnego Gubernatorstwa. Również ci, którzy opuścili ojczyznę w godzinie niebezpieczeństwa i zabrali z sobą duże kwoty pieniężne, usiłowali przesłać banknoty złotych z powrotem do Generalnego Gubernatorstwa z pomocą przemytników, gdyż złotych w Rumunii wymienić nie mogli. Wskutek tego zebrało się szybko w Generalnym Gubernatorstwie więcej złotych niż towaru, a złoty, który miał wprzód dobre pokrycie, stał się złą walutą i kurs jego spadał. Wtedy w Generalnym Gubernatorstwie zakazano obrotu markami niemieckimi i stworzono Polski Bank Emisyjny, na czele którego stanęli jako prezydenci dwaj znani fachowcy finansowi. Nowy złoty jest oparty o ziemię polską, gdyż zabezpieczenie jego prawnej wartości jest między innymi gwarantowane hipoteką wszystkich gruntów Generalnego Gubernatorstwa.

Zaufanie narodu polskiego musi bronić jego wartości przed oszustami i spekulantami. Staranne, precyzyjne wykonanie, jak to widzimy na naszych zdjęciach, sprawia, że fałszerze mogą fabrykować tylko niedokładne, łatwo rozpoznawalne falsyfikaty. Bank Emisyjny założył w Polsce, we Lwowie, w Kołomyi, Drohobyczu, Przemyślu, Stanisławowie i Tarnopolu filie, w których wymienia się będące dotychczas w Galicji w obiegu banknoty Rosyjskiego Banku Państwowego i wartościowe papiery rosyjskie (akcje państwowe) w czasie od 15 do 27 września włącznie, po kursie jeden złoty za pięć rubli, jako waluta w złotych.

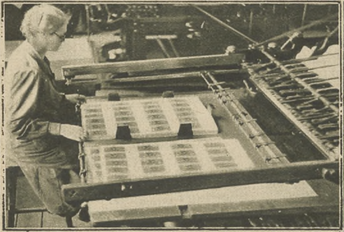
Będące w obiegu inne monety rosyjskie, z wyjątkiem drobnych jedno i dwu kopiejkowych, wymienia się w czasie od 13 października do 1 listopada 1941 roku. Banknoty Rzeszy, papiery Banku Rent i monety niemieckie nie stanowią w dystrykcie Galicji uprawnionego środka płatniczego. Między dystryktem Galicją i pozostałymi częściami Generalnego Gubernatorstwa nie ma ograniczeń dewizowych.



Na maszynie rytowniczej powstają na zasadzie matematycznych obliczeń najdelikatniejsze wzory ochronne składające się z kół, linii prostych i krzywych i tym podobnych, które na kształt najcieńszych koronek brukselskich rysuje diament i ekscenter.



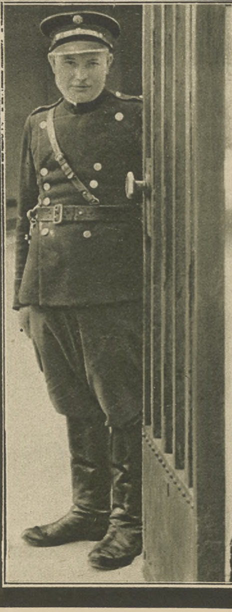
Zręczne ręce kobiece pracują nad wzorem znaku wodnego. Gdyż papiery wartościowe zarówno banknoty i czeki, jak i znaczki listowe drukowane są na specjalnym papierze, którego fałszerstwo uniemożliwia znak wodny.



To zdjęcie daje nam pojęcie o przebiegu druku. Automatycznie kładzie maszyna zadrukowane częściowo arkusze złotych przed robotnicą, która je wyprostowuje.



Te dziewczęta tarzają się po prostu w pieniądzach. Zręcznymi palcami liczą i segregują banknoty.





Część środkowa olbrzymiej mennicy Generalnego Gubernatorstwa w Warszawie. Drukuje się tu papiery wartościowe wszelkiego rodzaju. Specjalni urzędnicy (ilustr. na lewo) dbają o bezpieczeństwo wielkiego przedsiębiorstwa. Fot. Atlantic

Na jesień i zime



Na lewo:
Kostium sportowy i cape z tego samego materiału podbite sealskinem. Komplet na chłodniejszą już jesień.

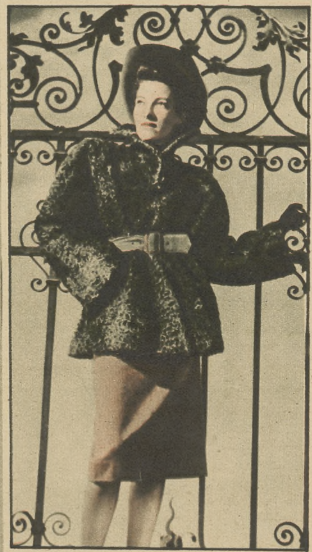
Na prawo:
Dziewczęta paryskie wymyśliły sobie same najodpowiedniejsze stroje do jazdy na rowerach, które obecnie stały się znowu ulubionym środkiem lokomocji.



Poniżej:
Śliczna sukienka z wełny lub crepe marocain z tak modnymi obecnie szerokimi rękawami spływającymi miękko w dół. Czy nie są one jednak zbyt szerokie?

Na prawo:
Płaszcz jesienny z grubej wełny. Widać wyraźnie, gdzie zaczynają się rękawy. Płaszcz sam jest ładny, ta modelka jednak, przybrała postawę mało estetyczną.





Powyżej: Sukienka sportowa i żakiet z baranków perskich. Kolor popielaty, brązowy lub czarny.



Obok: Kostium na jesień, z materiału w delikatną kratę, z naszywanymi kieszeniami. Mankiety i kołnierz z aksamitu dobranego z dominującym kolorem materiału.



Obok na prawo: Bardzo ładny komplet na jesień: spódniczka odstebnowana w talii, bluzka z wełny w kratę i żakiet z gabardiny.



Każda kobieta, bez względu na to, czy los dał jej więcej możliwości finansowych czy też poskąpił jej tych środków, które pomagają do uprzyjemnienia życia, bardzo chętnie patrzy na ładne ubrania, stroje, sama dba o to, by wyglądać jak najelegancciej, i mieć od czasu do czasu jakiś nowy szczegół, drobiazg choćby, który odwieży to, co wiele osób u niej już widziało, lub upiększy całość. Te z pań, które nie potrzebowały dawniej liczyć się z groszem, mogły naturalnie lepiej dbać o swoją sylwetkę, bo choć to prawda, że „nie suknia zdobi człowieka, ale człowiek suknię", jednak drugą prawdą jest, że suknia bardzo pomaga przy wyglądzie zewnętrznym człowieka. Jakby nie było, lubią kobiety, każda bez wyjątku zajmować się strojami, czego się im wcale nie gani.

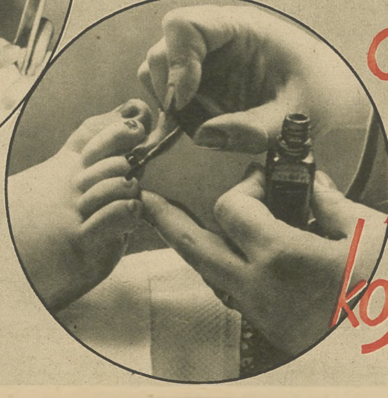
Dzisiaj sytuacja tak się zmieniła, że bodaj wszystkie panie muszą zadowolić się jedynie patrzeniem na to, co jeszcze w swojej szafie posiadają, i mogą marzyć o czasach, kiedy znowu będą miały sposobność ubrać się tak samo elegancko, jak przed wojną lub jak to widzimy na naszych zdjęciach. Gdyż — modele te są bardzo ładne. Naturalnie i dzisiaj jeszcze widzi się na ulicy panie, którym należałaby się nagroda za to, że tak się potrafią ubrać! Elegancją swoją, tą prawdziwą elegancją ściągają na siebie oczy przechodzących. Aż przyjemnie popatrzeć na umiejętnie i gustownie dobrany komplet, na wykończenie sylwetki od bucika począwszy a na rękawiczkach i torebce skończywszy. Naturalnie są to z pewnością les beaux restes czasów przedwojennych.

Najmniej kłopotu sprawia zawsze lato, kiedy każda sukienka kolorowa dobrze wygląda. Kiedy jednak nastają pierwsze zimna i trzeba z konieczności ubrać się trochę cieplej, sprawa przedstawia się trochę trudniej. Ponieważ w tym roku o nabyciu nowego materiału prawie że mowy nie ma, będzie trzeba sięgnąć do szafy po to, co w niej jeszcze jest i po prostu ze starego zrobić nowe. A jak? To widzimy na naszych modelach, które są rzeczywiście bardzo ładne. Dla każdej z pań znajdzie się coś, co może ona dla siebie w miarę swoich środków wykorzystać.

Fot. Ass. Press (7)
Scherl (3)
Atlantic (1)

Trochę kosmetyki





Szkoły kosmetyczne są dzisiaj takim samym codziennym zjawiskiem, jak np. szkoła powszechna dla dzieci. Co bynajmniej nie znaczy, że są one tak liczne jak te ostatnie. Ale tak jak w szkolę powszechnej uczą się dzieci podstaw, tak też i w szkołach kosmetycznych przyswajają sobie uczennice tajemnice podnoszenia i konserwowania urody kobiecej. Nasz mały reportaż daje nam szkic z takiej szkoły w Ameryce. I tak widzimy jak młoda adeptka z zapałem ćwiczy się w karminowaniu warg. Okres próbny wymaga bowiem starań i pilności. Pedicure jest może mniej przyjemny, cóż, kiedy... jest też konieczny. Odkąd moda wprowadziła sandałki a wojna drewniaczki, ma on też wielkie zastosowanie. Może by obeszło się jednak bez malowania paznokci na krwawo.



W tej chwili nie jest piękna ta pani. I wygląda raczej na pana o silnym zaroście. Ale kiedy zabieg z olejkiem będzie ukończony, będzie ona dwa razy tak piękna, jak jest teraz i jak była przedtem.



Sposób znany już i przez wiele pań praktykowany. Jest to trwałe przyciemnienie rzęs i brwi. Wyraziste oczy są wielką ozdobą twarzy.



VLADIMIR NAZOR
WODA
Z CYKLU »NA WYSPIE PRAGNIENIA«

Dokończenie

Morze dotąd spokojne jak oliwa, zakołysało się, ledwie trącając grzebienie wzdłuż brzegów.

— Tak. Pogoda się odmieniła.

A jakaś staruszka krzyknęła.:

— Patrzcie na świętą. Znowuj bredzi. Zawdy jest taka, jak deszcz nadchodzi.

I nowa nadzieja obudziła się w tych ludziach. Bóg nie opuszcza biednych. Oto burza, wody niebieskie i dla nich i dla zwierząt i dla winnej latorośli. Jeszcze przed zorzą wszystko będzie dobrze. Niebo się ulitowało nad nimi.

— Do domu! Do domu!

Wszystko skoczyło, by odwiązać, by popędzić zwierzęta.

I rzeczywiście, jeszcze przedtem, nim się ruszyli, najgórniejsze rąbki ciemnych, gęstych chmur pokazały się w półmroku nad wrotami zatoki i pierwszy dech wiatru dmuchnął w przystań, poleciał ku wsiom.

— Chwała ci, Boże! Chwała ci, Bogarodzico!

— Te deum laudamus! — odezwał się głęboki głos Profety.

I wszystko pobiegło ku wsi.

Długi siwy korowód zwierząt i ludzi przeszedł, podobny do wieczornych widm, przed naszym domem, śpiewając jakąś kościelną pieśń. Słychać było coraz to cichsze śpiewanie zmęczonych głosów bez barwy i właściwego dźwięku, a towarzyszyły mu głuche, grożące wykrzyki starego żebraka i cienkie pokrzykiwanie i śmiech świętej Liwji.

X.

Matka zapaliła świecę na stole, ale my pozostaliśmy na cysternie. Wdychaliśmy głęboko wiaterek, który nas ochładzał, patrzyliśmy w niebo, które się dalej mroczyło i szybko pokrywało coraz to czarniejszymi chmurami.

Weszliśmy do domu dopiero wtedy, gdy śpiew wieśniaków zamarł gdzieś daleko i znana nam cisza zapanowała nad naszym martwym, pustym portem.

Ojciec chodził po pokoju, wyglądał co chwilę na pole, rzucał okiem na barometr.

— Co znowu patrzysz na tego zwodziciela? Wątpisz jeszcze? Usiądźże! — rzekła do niego matka — i tak się dzisiaj nameczyłeś z tymi dzikusami, No, widziałeś, jacy są?

— Daj spokój. To wszystko nic. Nieszczęśliwi, biedni ludzie!... A mój barometr! Tym razem dobrze się spisał... Słyszysz. Okno bije w pokoju. Trzeba zamknąć, ale porządnie. Stary Profeta obiecał nam cały potop. Bo go też i potrzebujemy.

I ten chorowity człowiek o łysej głowie i białej brodzie już więcej nie kaszlał, chodził prosto, wyglądał o wiele młodziej. Począł zacierać dłonie; popatrzył na mnie jasnymi, uśmiechniętymi oczyma.

Matka zobaczyła to jego spojrzenie, więc i ona spojrzała na mnie oczyma jeszcze weselszymi od jego oczu.

— Piotrze! A co powiesz teraz o naszym Vladzie?

— A cóżbym miał powiedzieć? Wypędzimy go na deszcz. Niech go przemoczy, aż do skóry... do kości.

— Tak, tak. Dla niego nam go też Bóg zsyła. Przede wszystkim dla niego i z powodu niego. Wypędźmy go na deszcz, wypędźmy go...

— A dlaczego? — zapytałem z miną jak najniewinniejszą, chociaż pojmowałem sens ich słów.

— Bo uwiądłbyś bez niego. Uwiądłbyś, synku, jak nasze młode winorośle w Nerezinach... Ale wszystko uratowane. Posłuchaj tylko!

I nadsłuchiwaliśmy, jak zewnątrz morze szumi i coraz silniejszy wiatr się podnosi, gdy tymczasem do domu wdziera się świeżość, co zapowiada deszcz.

Matka zaprowadziła do łóżka najmłodszą siostrę i brata; starsze siostry przygotowywały do stołu; ja siedziałem obok drzwi.

I im dłużej patrzyłem na ojca, tym bardziej bladły i nikły przed moimi oczyma wypadki tego dnia. Wszystkie te nawoływania i krzyki i śpiewania ginęły gdzieś daleko i to od słów tego człowieka, który jeszcze chodził po pokoju z prawie młodzieńczymi ruchami. Pojmowałem po szczęściu, jakie biło teraz z jego twarzy i z dźwięku jego głosu, ile musiał cierpieć w te dnie, gdy się bał, że susza zmusi go do odmówienia matce tego, co jej wreszcie był przyrzekł. Nie wiedziałem akuratnie dlaczego, ale zdawało mi się, że i jego jak i matkę morzy pragnienie, co jest jeszcze silniejsze od pragnienia wielkowiejskich wieśniaków... A wszystko to przeważnie przeze mnie... I chciałem pobiec ku ojcu, by mu się rzucić na szyję, ale nawet teraz nie mogłem opanować lęku, jaki mię zawsze chwytał właśnie przed tymi, których więcej kochałem.

Aby tak nie siedzieć i łatwiej się wyrwać temu wszystkiemu, poszukałem wiadra; podstawiłem je pod rynnę, znajdującą się nad bramą naszego domu.

Matka niosła właśnie na stół jedzenie i tę trochę wody, jaką pokryjomu dostała od kapitana, gdy pierwsze krople deszczu posypały się na nasz dach.

Przez strop, zrobiony ze samych desek, mogliśmy dobrze słyszeć, jak tłuką — początkowo rzadkie, ale grube, a później mniejsze, lecz gęstsze krople — póki deszcz nie wezbrał i nie było słychać nic więcej, tylko sam jeden szum, nieprzerwany i jednostajny.

— Ej, żeby tak właśnie nieco dłużej padało! — rzekł ojciec.

Ale zagrzmiało nad zatoką. Cała przystań zadudniała, a nam wydało się, że się i dom trzęsie. Szum ten zmienił się w łomot, potem w stuk i bębnienie. Ulewa trwała długo, stawała się coraz to silniejsza. Słyszeliśmy, jak woda pada przez stary dach na deski sufitu nad naszymi głowami. W niektórych miejscach kapało już nawet koło nas.

— Boję się, że będzie tego nawet za dużo — rzekła matka. — Wkrótce dostanie się stąd i do piwnicy.

— To kapie wino w nasze beczki.

Rynny dzwoniły i bulgotały, z trudem przepuszczając wodę. Słychać było, jak woda rozlewa się po Głowie i płynie uliczką, uderzając o naszą bramę. Chwilami można było rozróżnić i szum, podobny do dalekiego nurtu.

— To mała powódź!

— Zaczynasz i ty jak nasz Profeta?

— Ależ człowiecze...

— Cicho. A gdyby nawet i to było? Ucierpiałyby trochę tylko doliny, gdzie i tak nie wiele winnych drzewek się hoduje. Wiśnie i figi jużeśmy zebrali. A zresztą: słuchaj!

Ulewa słabła. Szmery wkoło domu wydały nam się teraz silniejszymi. Woda, spływająca z Głowy, szumiała teraz jak potok; wdzierała się nam nieco do domu. Ale na dachu było o wiele ciszej.

— A co by to mogło być? — zapytała matka, przysłuchując się temu dalekiemu szumowi.

— To pewnie woda z wąwozu, co prowadzi z Małej Wsi. Z Konsyliarzowej doliny spuszcza się nagle do portu. Tam by mogło być i trochę szkody.

— Mamo! Kapie ci prosto na głowę, a ty nawet nie czujesz — zawołałem, a siostry gruchnęły w śmiech.

— Czuję, synku, czuję. Ale naumyślnie nawet się nie ruszam. Niech pokapie trochę i na mnie. Nie chcę i ja, Boga mi, uwiędnąć... Czy nie, Piotrze? Tego roku Vlado, a za rok te nasze gołąbki. Żeby nam nie zdziczały w tej pustyni. A potem wszyscy. I my oboje starzy.

— Pomału, kobieto! Pomału!

— Ty się ciągle czegoś boisz. Widzisz, jak Bóg pomaga.

— Nie jestem ja znowu taki bojaźliwy. Ale nie wolno odbierać czworgu, by dać jednemu. Wiesz, jakie były te trzy ostatnie lata?

— Wiem. Ale przecież niemożliwe, żeby nasi synowie zostali towarzyszami Kostusia i Goljata, a córki nasze może czymś takim, jak i ta święta Liwja!

— Marietto, daj spokój! Po co o tym teraz mówić? Na ten rok wszystko jest w porządku.

— A gdyby tego nie było? — spytała matka.

— Wtedy trzeba by było poczekać. Och, z pewnością!

Ojciec powstał i otworzył bramę domu.

Prawie już nawet nie padało. Tylko woda zewsząd płynęła i szumiała. Niebo czarne i zamknięte. Chmury nisko. Znikąd wiatru. Błyskało się na wszystkie strony. Powietrze cisnęło i dusiło. Opadł nas dziwny niepokój i trwoga.

— Piotrze, co powiesz?

Nie odpowiedział nic. Milczeliśmy i nadsłuchiwali.

— Dzwon!

— Na co, ojcze? Na co to dzwonią w nocy? — zapytała średnia siostra.

— Ludzie się wszystkiego boją.

— I ja też, ojcze. I ja...

Matka przyciągnęła ją ku sobie, poczęła ją pieścić.

Naraz się targnąłem.

Nasz kot Moro stał za mną na schodach, gdzie siedziałem obok drzwi. Grzbiet wygiął w łuk, pochylił głowę, wytrzeszczając oczy nieruchomo przed siebie, a cały się najeżył. Włosy sterczały mu jak igły. Dziwny głos, podobny do lamentu, wyrywał mu się z gardła.

— Wypędź go! Nie mogę tego słuchać — krzyknęła matka.

Ale kot nie dał się z miejsca ruszyć. Z biedą przepędziłem go nieco wyżej.

Było parno i duszno. Trwoga tylko rosła.

Naraz błysnęło; zagrzmiało głucho i mocno.

Oczekiwaliśmy nowej ulewy.

Coś padało z wysoka, ale to nie był deszcz. Jakby konie biegły z Głowy na dół, jakby kamienie padały na dach domu. Trzaskało, dzwoniło, łopotało i bębniło, długo, bez ustanku, zwalniając chwilami nieco, by uderzyć jeszcze mocniej, skoro tylko zagrzmiało. Woda już nie wdzierała się przez próg do domu; okrągłe, błyszczące kawałki biły o mur studni, odskakiwały do pokoju.

Milczeliśmy wszyscy, znieruchomiali i przerażeni; tylko kot żalił się jak i przedtem, stojąc ciągle zgarbiony i najeżony.

I przeszedł tak jakiś czas, który wydał mi się długim, bardzo długim.

XI.

Gdy się to wszystko skończyło, matka poszła w milczeniu do swego pokoju, bo zawsze kładła się zaraz, skoro tylko opanowywała ją jaka wielka żałość. Siostry uspokajały kota głaszcząc go po grzbiecie i patrzyły na ojca, który siedział za stołem, wspierając głowę o prawą dłoń. Patrzył prosto przed siebie, ale widać było, że myśli jego są gdzieś daleko.

Naraz się targnął:

— Vlado! Poszukaj latarni.

Gdym ją przyniósł i zapalił, rzekł:

— Chodźmy do winnicy.

Podnieśliśmy się wszyscy.

Ja szedłem pierwszy, rozświetlając drogę, ojciec i siostry za mną.

Dwa razy stawaliśmy, bo woda, pełna błota i ziemi, ciągle jeszcze płynęła z Głowy w dół, a droga była cała zrujnowana i zasypana kamieniami. Winnica leżała poniżej Głowy, na lewej stronie konsyliarzowej doliny. Teraz mogliśmy lepiej słyszeć, a niedaleko od nas i widzieć, jak woda jeszcze płynie, niby jaka rzeka, wąwozem w dół, zalewając równą część doliny i przelewając się przez dolny zburzony mur dalej w port i w morze. Woda była czerwonawa od ziemi i niosła powyrywane drzewka owocowe i winorośle.

Gdyśmy weszli do winnicy, bieliła się jeszcze od gradu. Na niektórych miejscach nogi zapadały nam głęboko w zimne drobne kawałeczki. Ale to, co tu zobaczyliśmy, przeszyło nas jeszcze większym mrozem. Drzewka były prawie całkiem gołe, gdzieniegdzie tylko wisiało jeszcze czasem jakie grono na gałązce. Wszystkie liście, jakby czymś poobrzynane, rozsypane po ziemi, pomieszane z gradem. Gołe drzewka, z obtłuczonymi i połamanymi gałązkami, wyglądały jeszcze czarniej na białości ziemi.

— Wszystko! Wszystko przepadło! — mówił ojciec.

Obeszliśmy całą winnicę, zaglądnęliśmy i do drugiej, położonej w pobliżu, lecz wszędzie ten sam smutny widok.

I wróciliśmy, nie przemówiwszy ni jednego słowa.

XII.

Matka już leżała. Siostry poszły do swego pokoiku.

Ojciec siadł przy stole, oparł ręce na kolanach, zamyślił się, patrząc przed siebie w namokłą podłogę.

Jakby dopiero teraz opadło go zmęczenie i jakieś brzemię zwaliło się na jego barki.

Miałem zwyczaj, że w każdy wieczór, tuż przed położeniem się do łóżka, całowałem go w czoło. Ale tym razem wydawało mi się, że byłoby mu jeszcze ciężej, gdybym się w takiej chwili przybliżył do niego. Jakbym odczuwał w nim coś, czego nie wolno mi tykać.

Wkradłem się po cichu do swego łóżka, nie zamknąwszy nawet drzwi od pokoju. Ściągnąłem buty i ubranie, siadłem na łóżku i zapatrzyłem się znowu w ojca.

Siedział jeszcze ciągle tak samo nieruchomo, tylko zdawało mi się, że się bardziej przygarbił, że niżej spuścił głowę.

Świeca na stole oświetlała mu twarz, która wydała mi się inną niż przedtem. To już nie była twarz człowieka, który dziś rano stał na progu swego domu, pogodny i pewny, przed tamtymi ludźmi, zachęcał ich, by mieli nadzieję i by nie upadli na duchu, by wierzyli i by nie tracili zaufania nawet w najcięższej chwili, a dodawał im otuchy więcej swoim spokojem niż słowami. Teraz ta twarz stała się całkiem inną, budziła we mnie coś, co mię całego wzruszało.

W domu wszystko było cicho. Siostry już spały. Matka się nie odzywała. Nie było słychać nic, tylko powolne kapanie wody, która przez deski sufitu spadała niedaleko od ojca.

On zaś nie słyszał nic. Jakby nieustannie myślał o jednym i tym samym. Te same zmarszczki stały mu ciągle na czole, ale coraz to głębsze. To samo drganie ściągało mu usta, ale ciągle coraz to silniej. A tych zmarszczek i drgawek nie widziałem jeszcze nigdy na jego twarzy. Każdego roku coś nas gnębiło; nieustannie żyliśmy w obawie; on nas zawsze od czegoś albo od kogoś bronił; przeżywał i okropne chwile — ale żałość nigdy tak go nie opanowała, albo przynajmniej nie dopuszczał, byśmy go widzieli z licem człowieka zgnębionego. Był dla nas zawsze takim, jakim był i dzisiaj: na progu swego domu, przed podwórzem konsyliarza, na skraju wybrzeża, gdy ludziska krzyczeli przeciw kapitanowi.

Ojciec podniósł głowę; popatrzył ku mnie. Nie widział, jak patrzę na niego z mroku, i pochylił znowu czoło; ale ta chwila wystarczyła mu aż zanadto, by poznać i odgadnąć wszystek smutek w jego oczach. Tak, on miał teraz taką twarz przeze mnie, tylko przeze mnie.

Wszystko się we mnie poruszyło. Coś mię pędziło stąd, ciągnęło ku niemu. Ale wstyd i bojaźń jeszcze mię powściągały. Jakże mam podejść do niego? Cóż mu mam powiedzieć?...

Patrzyłem na niego dalej, siląc się, by zdusić płacz, co mi się cisnął do gardła.

Naraz targnąłem się.

I skoczyłem, pobiegłem ku niemu, klęknąłem i objąłem go rękoma za kolana.

— Ojcze! Ojcze mój!

Wybuchnąłem płaczem, trzymając głowę na jego kolanach. Płakałem jakiś czas. Uspokoiłem się, gdym poczuł, jak jego ręka przesuwa się po moich włosach.

Spojrzałem mu w oczy; rzekłem:

— Ojcze, czemu się tyle trapisz? Ja nie dbam o miasto. Mogę i nie iść do ciotki. Zostanę z tobą. Będę ci pomagał.

Twarz jego była znowu tą jego, tą dawniejszą twarzą. Wydała mi się nawet pogodniejszą. Oczy mu się uśmiechały.

— Nie, synku! ty jednak pójdziesz. Nie chcę i ja, byś został Kostusiowym towarzyszem. Nie troszcz się ty o swego ojca.

I tego wieczoru pocałował mię w czoło przed moim położeniem się do łóżka.

Tłumaczył z serbo-chorwackiego W. Bazielich

CHORUJ CZŁOWIEKU

Napisal: Tehace Alf

Leżę w łóżku i skrobię się w łydkę. Pod kołdrą. Żeby nikt nie widział. Jestem prawie przytomny względnie półprzytomny. Mam zapalenie opłucnej i nieżyt oskrzeli, boli mnie bok, łupie mnie głowa i swędzą pięty. Pozatem wszystko dobrze.

Lekarz przepisał mi bańki, lekarstwa i spokój. Dwa pierwsze z apteki, ostatnie winienem mieć w domu. Zobaczymy.

Położyłem się dziś do łóżka z pełną świadomością, że mam wysoką gorączkę — za wysoką na niskie progi — ale samopoczucie dobre i że napewno wyzdrowieję albo wstanę nieboszczykiem.

Zanim żona wyszukała bańki, które jednak powinny były gdzieś być w domu, o ile nie przepadły przy ostatniej przeprowadzce, leżałem cicho, w przerwach między jednym rykliwym kaszlem a drugim — i zacząłem się zastanawiać, czy ja mam właściwie ten przepisany spokój. Zdawało mi się zawsze, że tak. Zwykle człowiek nie zastanawia się nad dźwiękami z otoczenia, bo albo sam chodzi za dnia i nie ma go w domu, albo coś robi w domu i nie zważa na otoczenie (lub — sam dźwięki wydaje) — itp. Ale gdy się jest chorym, ma się czas na obserwacje i powoli nerwy zaczynają wchłaniać najdrobniejsze szmery. Ściany stają się jakby żywemi komórkami zmembranowanego pudełka, zwanego pokojem, w którym leży nasze ciało.

A więc tak, istotnie, teraz słyszę — co to za szum czy syczenie? Aha, to piec. Ogień buzuje. Buzuje — piękny wyraz. Głowa mnie łupie, łupie, buzuje, łupie, buzuje, buzuje — Hę? Głowa buzuje? Co za bzdury! Skąd ja to wziąłem? Ale istotnie, jakby coś buzowało w głowie — mrugam powiekami — co to ja chciałem powiedzieć? Głowa łupie — poza tym wszystko w porządku.

Któż to tam stąpa nademną? Łup, łup, łup, łup, aż się sufit trzęsie i dzwonią metalowe części żyrandola. Stąpa. Hm. Hm? Ha! Piękny wyraz! Słowo daję. Stąpa, stąpa, stąpa, stąpa — ha! Stąpa, łupie, stąpa, łupie, stąpałupie (o, znowu dzwoni żyrandol), stąpa, łupie — stą- Do licha! Kto się tam stąpałupie na górze!? Hej! Ludzie! Luuudzie!

...Cyt, główeńko, tobie się nie wolno irytować, zresztą myślisz, że twój kaszel jest miły dla sąsiadów, że oni pękają z zachwytu, że im ściany i uszy rozdzierasz, mógłbyś choć trochę nad sobą zapanować, pieścisz się tylko, no tak, bo ty lubisz chorować, tobie to sprawia przyjemność, że się będziesz wylegiwał, dużą przyjemność, wielką przyjemność, ogromną przyjemność, a ja biedna, zaharowana od świtu do nocy, krzyża nie czuję, poświęcam się dla was i ręce mnie bolą i nogi mnie bolą i krzyża nie czuję i nóg nie czuję i łopatki mnie bolą, a ty nic, tobie przyjemnie, nic, tylko rozwalony na łóżku leżysz i kaszlesz.

Głowa mnie łupie. I ktoś stąpa na górze. Znowu. Ale jest jeszcze coś nowego, co to? Pokój przytyka z jednej strony wprost do schodów głównych, które wianeczkiem zbiegają wokół przy ścianach wszystkich mieszkań aż do parteru. Schodzą? Na zdrowie. Niech schodzą. Nie! — turrrlają się, po dwa, trzy schody naraz. Grube buty, drewniane buty, małe buty, duże buciska, czasem łupnie ktoś wiadrem z węglem o schód, sapie i odpoczywa i znowu: łup, tup, łup, tup, łup-tup, tup- turla się z góry, łuptup do góry.

...Nic, rybeńko, to cała kamienica chodzi od rana do nocy, a ty nic, bo ci tak przyjemnie, bo ty lubisz się wylegiwać, nie widzisz, że ja się męczę, że się zaharowuję dla was, że sobie urabiam ręce po łokcie, nogi po kolana, głowę do karku, piersi do pośladka i plecy do zadka, ty nic, tylko sobie leżysz wygodnie w łóżku, rozwalony i kaszlesz.

Hę? Kto mówi? Co to? Aha, żona. W porządku. Wszystko dobrze.

Brzdęk. Brzdąk. Gra. Ktoś gra. Brzdąk, brzdąk. Gdzież to? Aha, z prawej strony. Za ścianą. Ktoś brzdąka. Brzdąka. Co? Piękny wyraz. Słowo daję, piękny wyraz! Brzdąka. Brz-dą-ka. Tuż przy moim uchu. Któż to tak brzdąka? Brzdąka? Brzdęka? Brzdąk, brzdęk. Uf, głowa łupie, brzdąk, łupie, brzdęk, łupie, brzdęk, łupie, brzdąk-łupie, brzdąka-łupie, brzdąka-łupie, brzdąkałupie, O-O-O-O!

A głowa łupie.

Hę? Teraz gra i brzdąka z czterech stron naraz. Z prawej pianino, z lewej harmonia, za mną od ulicy jakaś zmarznięta orkiestra rondlowa, a czwarta? Czekajcie, gdzieś słychać radio. Gdzie? Ale to nie jest czwarta strona! Aha! Sufit! Już nie stąpa.

I jeszcze gdzieś gra — zaraz, aha, to w moich płucach gra, oddech świszczy, kaszel dudni, świst z przewodu oddechowego i jakby rzężenie. Zepsuta harmonia. Harmonia w płucach. Miłe. Ale dzięki Bogu sąsiedzi nie słyszą. Oni sobie grają sami. Mniejsza z tym. Wszystko w porządku. Tylko dlaczego mnie tak głowa łupie? OOO — saksofon zawodzi w radiu, harmonia za ścianą kwili, na pianinie ktoś już nie brzdąka, a grzmi, a mnie w płucach gra. Boże, tylko żeby sąsiedzi nie słyszeli tego grania i kaszlu! Tacy mili ludzie! Dlaczegoż mnie tak ta głowa łupie? Harmonia kwili. Ładne słowo. Prawda, jakie piękne słowo? Słowo daję, śliczne słowo. Kwili. Kwili? Kwili. Głowa łupie. Radio zawodzi. Pianino grzmi i wali kopytami. A harmonia — nie, delikatnie kwili. Wszystko kwili, łupie, rżnie, dudni, chrzęści, grzmi, zawodzi i turla się. Trzask, łup, brama, radio, żyrandol, żona, harmonia, kaszel — Jezu! Pudełko się zawali, głowa nie wytrzyma, ściany się chwieją, żyrandol tańczy, łóżko w przepaść leci, ratunku, ratuunku, ratuuuuunku!

Pf! Pf! Co? Krzyczałem? Ja krzyczałem? Ja? Chyba — śniło ci się — gdzieżby — naprawdę? Ja? Ależ dlaczego? Wcale miło — skądżeż — trochę mi mdło w ustach, posmak krwi, posmak głupi. Ale ja będę zdrów, nie chcę chorować, nie chcę się pieścić, nie chcę się wylegiwać, nie chcę być nikomu ciężarem, nie chcę patrzeć jak ty się zaharowujesz, nogi, ręce, głowę i resztę, nie, ja już oczywiście, ależ tak, mogę tańczyć, mogę śpiewać, jestem wesół jak szczygieł. Sucha i rozpalona do czerwoności twarz, powiadasz i błyszczące oczy? Głupstwo, mówiłaś zawsze, że mam ładne oczy.

Czekaj, kto to wrzasnął? Aha, to na lewo za ścianą. Co — czekaj — posłucham. Jaki miły, melodyjny głos. Dźwięczny. Cicho.

„Mówiłam ci, cholero, że cię na pysk zrzucę z piętra, jeżeli to jeszcze raz zrobisz!"

Taki miły głos. Głos inteligentny, dźwięczny. I takie brzydkie słowa. Cholero — mówi. Na pysk — mówi. Trudno.

Ostatecznie — czemu nie, wszak to i nazwa choroby. A któżby się obraził, że do niego powiedzą np. ty walcu, albo — szkarlatyno. Chociaż nie. Walc, a może być walec. Wtedy może być obrazą. Dziwne.

Ale miły głos. Bardzo miły głos. Dźwięczny. Przez ścianę słychać. Hm.

Oooooo — a to co znowu? Znów łupie, turla, szczeka, dudni, brzdąka, chrzęści, grzmi, tupie — Jezu! Jezu! Moja głowa — moja głowa —

I to radio — raaadio, saksofon, harmonia — nie — nieeeeee — dość. DOŚĆ!

Puść mnie. Puść, mówię. Co? Znalazłaś już bańki? Gdzie? W pianinie? Nie mogłaś prędzej? Dlaczego? Córka grała? Aha, to nasza córrreczka tatusiowi grraała! To ona brz-dą-ka-ła! Uf!

Pf. Pf! Co? nie, nie trzeba już baniek, nie trzeba. NIE trzeeeba, wstaję, nie jestem chory, nie jestem chory, wstaaaję!!!

...Cyt, robaczku, nie denerwuj się, a mówiłam, mówiłam, że udajesz, że się pieścisz, jak ja co mówię, to zawsze jest prawda, ale ty jesteś niezrównoważony, pieścisz się, udajesz chorego, a potem okazuje się: zdrów jak koń — spokojnie, nie denerwuj się. — Co? Mam cię puścić? O nie! jesteś chory, będziesz leżał i dostaniesz bańki — dostaniesz bańki. — Spociłeś się? Dlaczego? Bez proszków? Z mego gadania? Miły jesteś. Z czego jeszcze? Z tych „szmerów i dźwięków na około? Co?" Z szumu, łupania, turlania, brzdąkania — co? I z szczekania psów? Ja przecież nie szczekam chyba, a u sąsiadów są tylko dwa psy, robaczki maluśkie, e, bujasz mój drogi. Nie miałeś prawa się spocić, trzeba było wziąć proszek. Leż spokojnie, teraz ci postawię bańki, leż mówię. Co? Pielęgnowałeś mnie cicho, gdy byłam chora, bez sprzeciwu — słusznie, ale ja byłam choora, na-praw-dę chora. Leż! Dostaniesz bańki!

Ha! — istotnie, postawi. Boże, co robić? Nigdy tego nie robiła. Nie umie. Przyniosła dodatkowo cztery słoiki z kompotów i — coo? Słój do kiszenia ogórków. Co? Mówisz kochanie, że tak lepiej, bo prędzej i od razu? Aha. Nno tak. Rozumiem. Zamiast 20 małych szklanych baniek — niby słusznie. Ale — pomyśl sama, ciało się w bańce wznosi, wsysa niejako do niej. Gdyby mi tak, — całe plecy do tego słoja na ogórki wlazły, rozumiesz — przykro. Gotowaś potem nie odczepić, albo gorzej, razem ze skórą.

Słuchasz? Czekaj. Pozwól, że ci objaśnię. Tu postaw zapaloną świecę. Tu nalej trochę spirytusu. Ależ nie do miednicy, tylko do szklanki. Do miednicy nalej wody i wstaw bańki. Trochę wody, nie tyle. To nie kąpiel. I bańki to nie kajaki. Odwrotnie.

Dobrze. Idzie. Wraca. Niesie. Idzie. Wraca. Zanosi. Odnosi. Przynosi. Idzie. Wraca. Idzie-wraca. Idzie-wraca. Wraca. Jest. Stoi. Zapala świecę.

Masz patyczek? Jaki patyczek? Choćby ołówek nie chemiczny. Nie, palcem nie można.

Idzie. Wraca. Przynosi ołówek chemiczny.

Odnieś kochanie. Albo zostaw. Przynieś trzaskę z kuchni. Odrobinę waty. I nitkę. Pamiętaj, nitkę.

Dobrze. Przynosi polano, zwój waty i sznur do bielizny.

Głupstwo. Zmęczona, biedactwo. Zaharowuje się. Polano? Niech będzie polano. Nie masz trzasek w kuchni? Ma, ale musiałaby dwa razy się trudzić. Słusznie. Mówi, że można zastrugać.

Oczywiście, że można. Strugajmy. Ależ to bardzo łatwe. Daj nóż. Masz nóż? Jest nóż.

Urżnąłem się w palec i brzuch, ale trzaseczka jest. Trochę watki na koniuszek. Kosmyk z sznura do bielizny. Gotowe. Stawiaj bańki. Robi się to tak, tak, tak. Patrz i uważaj. Tak, tak i tak. Byle szybki ruch.

Zaczyna się. Najpierw na piersiach. Chcę widzieć, jak nabierasz wprawy. Au! Nabiera wprawy, trudno. Robi z precyzją, trudno ganić. Słusznie. Au.

Pf! Odpadła bańka.

Pf! Odpadła druga. Trzecia. Wszystkie.

Na nowo. Uwaga, śmierdzi! Patyk się pali! Wata się pali!

Pękam ze śmiechu! Istne kino. Na własnej skórze. Wyłażę ze skóry, która włazi do baniek. Konamy oboje ze śmiechu. To bardzo zabawne.

A ona ciągle nabiera wprawy, au — nabiera wprawy — Au — nabiera — AUU!

Gotowe. Piersi gotowe. Przykryj lekko ręcznikiem. Patrz na zegarek. W kilku miejscach boli, jak diabli. Pewnie dobrze ciągnie.

Uf. Minęło piętnaście — dwadzieścia minut. Zasypiam już. Przywykam. Odsłoń, zobaczymy.

Odrywajmy bańki.

Czekaj, nie tak — au — palcem tu, pochylić na bok. Au. Dobrze.

Na dwadzieścia baniek trzy „przyrosły", a siedmnaście odpadło. Ale ciemne plamy były wszędzie. Z palącej się waty na patyku.

No, mniejsza z tym. Nie trzebaż znowu życia brać tak tragicznie. Każdy musi się nauczyć. Umiesz kochanie już teraz?

Umie.

No, to stawiaj na plecach, ale równomiernie, nie wszystko po lewej stronie. I stawiaj solidnie. Żeby znowu nie odpadły. Na to jest patyk, watka, spirytus, płonąca świeca, woda w miednicy, żeby w bańce wytworzyć szybko próżnię, dlatego potem bańka przywiera do ciała. Rozumiesz?

Rozumie.

No, to stawiaj kochanie. Rzuć ten słój z musztardy. Co tam w nim majstrujesz? Odstaw.

Czekajcie, co to było dalej? Nie wiem, jak Bozię kocham, nie wiem. W pewnej chwili poczułem nagle swąd, smród, ból piekielny, podskoczyłem do góry, strąciłem świecę, wpadłem do miednicy i zemdlałem.

A tam na zewnątrz, poza obrębem mojej świadomości, życie dalej turlało, tupało, dudniło, grzmiało, brzdąkało, grało na harmonii, chrzęściło w żyrandolu, syczało w piecu, szczekało i wyło. Ale mnie to już nic a nic nie obchodziło. Było mi błogo, spokojnie, cicho, beztrosko, ach, jak beztrosko. I spokojnie. Prawdziwy spokój domowy.

Ale jak krótko, niestety.

Bardzo króciutko.

Za krótko.

Jakby mgnienie oka.

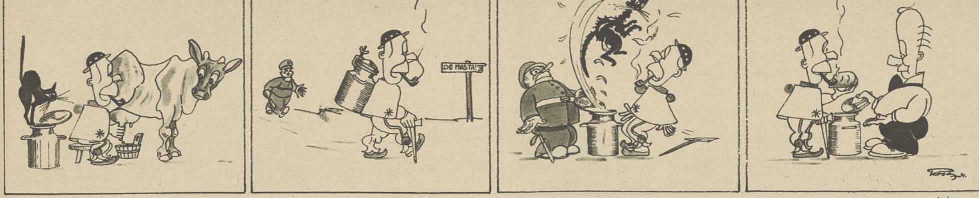
Poczułem, że wracam do życia, a raczej — do łóżka. Ktoś mnie ciągnął, szarpał, klął, płakał nademną i nad sobą, nad rozlaną wodą, klepał czymś twardym po policzkach i macał po karku, szczypał w wszelkie niemożliwe miejsca — jakżeż nie miałem wrócić do przytomności. Umarły by wstał. A ja niestety byłem jeszcze żywy.

Szkoda jednak, że naprawdę nie umarłem. Ten spokój domowy po śmierci! Taka cudowna okazja — zmarnowana.

Żona jednak ma rację, że jestem niedołęga. Nawet umrzeć nie potrafiłem.

MOTEK „PASKUJE"

Rys. i tekst: Pawł.



„Zapaskować" chciał raz Motek
Więc nadoił w skopiec mleka.
A tuż za nim sprytny kotek
Hyc — na bańkę i tam czeka.

Wnet też Motek spuszcza wieko
Bańkę na targ śpiesznie niesie,
W bańce zaś kot tłucze w mleko,
Sapie, prycha, pływa, drze się.

Tuż pod miastem jest kontrola.
Motek bańkę z ramion składa,
Już otworzył. — W tejże chwili
Z bańki jego kot wypada.

Lecz już masło jest miast mleka.
Boć się kotek tłukł niecnota.
Motek jednak nie narzeka
Sprzeda je na wagę złota.

Wykarmione flaszką

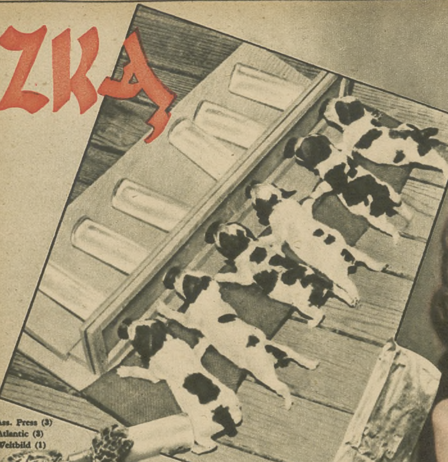




Nie tylko dzieci, które z powodu utraty matki lub jej choroby pozbawione są naturalnego pokarmu tak potrzebnego do rozwoju niemowlęcia, odkarmia się mlekiem krowim podawanym we flaszce. Także i w świecie zwierzęcym znajdujemy sieroty, które by zginęły, gdyby nie opieka ludzi miłujących zwierzęta. Bezbronność i bezradność każdego stworzenia rozbraja ludzi i nawet u osób dość trzeźwych z natury budzi chęć pomocy słabemu. Na naszych ilustracjach widzimy właśnie takie dzieci wykarmione flaszką. Nie wszystkie, nie wszystkie, ten chłopiec bowiem, sam, bez niczyjej pomocy próbuje, czy udało się wino z nowego winobrania. Sądząc po minie smakuje mu to wyborne Chianti. Od razu na lewo widzimy na przykład małego łosia, którego opuściła niedobra matka. Myśliwy, który znalazł to młode, próbował przy pomocy naśladowania beku tego jagnięcia przywołać matkę, bojąc się że młode zdechnie. Kiedy jego nawoływania nie odniosły skutku, sam nakarmił biedne stworzenie i zabrał je do domu, gdzie odchował je na flaszce. Poniżej mała małpeczka pije na zdrowie swych państwa, którzy znalazłszy ją bez opieki, wykarmili ją własnym przemysłem. Te trzy boginie z przyjemnością spełniają funkcje mamek, tym więcej, że idzie tu o zakład, czyja flaszka będzie najpierw opróżniona. Wśród psiego rodu zdarza się stosunkowo dość często, że matka zdechnie, i że trzeba młode odchować samemu. Ponieważ szczeniąt jest zawsze dość dużo, jak to zresztą widzimy na naszym zdjęciu, wymaga przygotowanie flaszek dla tych sierot trochę zachodu. Ale sądząc po pozach tych małych, należy wnioskować, że ten sposób karmienia jest dla nich przyjemny. I wreszcie ostatnia „sierotka". Kto też zgadnie, co to za zwierzątko?

Wiewiórka.



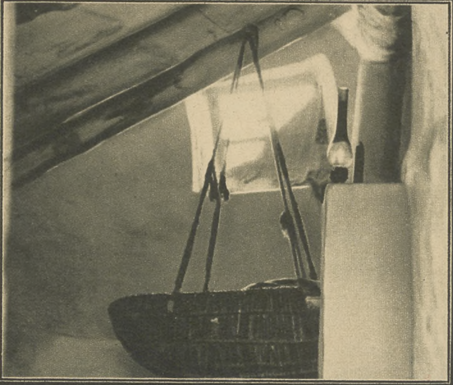


Fot. Ass. Press (3)
Atlantic (3)
Weltbild (1)





SOWIECKA KULTURA JASKINIOWA



Łóżek szuka się na próżno w takim mieszkaniu. Dorośli przygotowują sobie na noc legowisko na twardej ziemi ze słomy i starych szmat. Jedyne „łóżko" dla najmłodszego członka rodziny, to kosz zawieszony u pułapu.





Te lepianki są do połowy wkopane w ziemię. Na powierzchni ziemi parę desek, belek i kamieni polnych razem skleconych. Urządzenie wewnętrzne tych „domów" odpowiada ich wyglądowi zewnętrznemu. Jest ono biedne, prymitywniejsze niż u Hotentotów w Afryce.

Rosja Sowiecka zamknięta przez długie lata hermetycznie dla wszelkich wizyt i gości, dostarcza posuwającym się ciągle naprzód wojskom mocarstw osi i pułkom ochotniczym sprzymierzonych z nimi armij coraz to nowych niespodzianek. Przed oczy nasuwają się też ciągle nowe wstrząsające przykłady kultury sowieckiej. Tak np. w południowej części urodzajnej Ukrainy a więc w środku śpichrza Europy, znajdują się osiedla, gdzie mieszkańcy wbudowują swoje domy w ziemię. Sama nazwa „lepianka" jest jeszcze za dobra dla tych nędznych baraków, stojących w wołającym o pomstę i rażącym przeciwieństwie z szumnymi hasłami władców na Kremlu, którzy zamierzają uszczęśliwić całą Europę „błogosławieństwem kultury sowieckiej". Chcą! Ale Europa rezygnuje z tego szczęścia bolszewickiego. A ci Anglicy, którzy obecnie z zapałem śpiewają międzynarodówkę, powinni choć raz porozmawiać z mieszkańcami tych jaskiń zanim zapewnią pozbawionych sumienia władców Kremla o swojej sympatii.

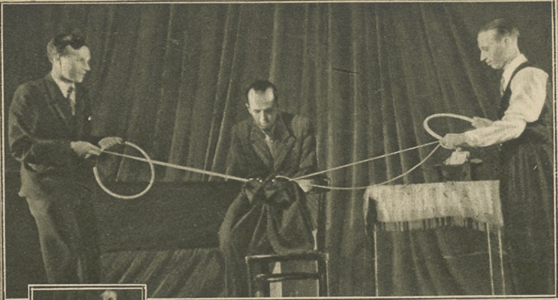
Fot. Ass. Press



Oto wynędzniała twarz mieszkanki takiego mieszkania. Bez widoków zmiany na lepsze wegetują tak ci ludzie.

„Kometa"

»ŻNIWA MIŁOŚCI«



Teatrzyk dzielnicowy „Kometa" musi zaimponować każdemu bezstronnemu obserwatorowi. Mimo, że obliczony jest we lwiej części na publiczność peryferyjną, często sięga ambicjami dalej, dając rzeczy wartościowe, których by darmo szukał w śródmieściu. Oto przykład, co znaczy teatr prowadzony „z głową" — kierownictwo literackie p. Horskiego znanego aktora operetkowego montuje zgrabne rewietki o dużej rozpiętości zainteresowań, w których każdego typu widz coś dla siebie znajdzie. W zespole spotykamy obdarzonych miłymi głosami parę Małówna—Witas, czterech śpiewających „gentlemanów" vel chór Radiana, zgrabną i urodziwą Hankę Piasecką, której talent stale się rozwija, kulturalnych piosenkarzy pp. Klimaszewskiego, Golferta i Suchcickiego, fikające panienki od Zabojkiny i stale skaczący i biegający, niezależnie od rytmu tanga, walca czy bolera, duet Lewandowskich.

W nadchodzącym sezonie obiecuje „Kometa" przewietrzanie zespołu i pokazanie nowych sił, co najmniej obecnym dorównujących!



Niedawno występował w Krakowie mistrz „nowoczesnej magii", kryjący się pod pseudonimem „Nemo". Sztuki jego, doprowadzone do doskonałości wprost niepojętej, budziły żywe zainteresowanie zwłaszcza wśród męskiej połowy rodzaju ludzkiego. Nic dziwnego, gdyż wielu chciałoby podpatrzeć, jak się robi takie „cuda", jak np. wydłużanie chusteczki i rozwiązanie trzech skomplikowanych węzłów za jednym pociągnięciem. Te właśnie momenty przedstawiają nasze zdjęcia. Publiczność miała też powód do podziwu.

Fot. Borek

„Bodega"

»JAZZ STASIAKA«

Jedna z czołowych kawiarni warszawskich „Bodega" zainaugurowała sezon iście po królewsku „królem i królową jazzu". Oczywista — jeśli król — to Bronisław Stasiak, w przeciwieństwie do różnych półgłówków siebie „królami" piosenki obwołujących; monarcha zasłużony, na czele swej znakomitej orkiestry — królowa to popularna Hanka Brzezińska w częściowo nowym repertuarze, niestety dużo słabszym od starego.

Tłumny udział „naszych milusińskich" i frenetyczne brawa świadczyły o zadowoleniu publiczności, której gusta znakomicie znają i umieją zaspokoić: wytrawny dyrektor p. Gorzkowski i jego prawa ręka p. Chrzystkowski.

„Antresola"

»Sam miód«

Kawiarnia aktorow filmowych ze swą miniaturową sceną „Na antresoli" ma już wyrobioną markę wśród publiczności warszawskiej. Składa się na to i najlepszy zespół aktorski gwiazd filmu i teatru (Lidia Wysocka, Malkiewicz, Grossówna, Pichelski, Grolicki, Brodniewicz), staranne opracowanie całości jak i umiejętny dobór tekstów (ostatnio b. udane prace p. Grolickiego). Nie ma tu nigdy nic ordynarnego i szmirowatego, co cechuje niektóre „przybytki" warszawskie.

Czasem i tu, gdy część zespołu odchodzi chwilowo, zabłąka się jakiś „trubadureń Warszawy" znęcając się nad publicznością kogucim pianiem przy gitarze, ale to na szczęście rzadko.

W smacznie zmontowanej całości wybija się talent Lidii Wysockiej zarówno doskonałej w recytacji nastrojowej, jak i skeczu a zwłaszcza — w rzeczach charakterystycznych — o trafnych rysach parodii na najlepszych wzorach Ćwiklińskiej („Na plaży") czy też Zimińskiej (piosenki staroświeckie) opartych.

Grossówna jest zawsze urocza, bez względu na to, co gra czy śpiewa. P. Lili Zielińska kulturalnie interpretuje teksty i ładnie wygląda. Program, jak każdy tego sympatycznego teatrzyku, wart zobaczenia.

Czesław Podlewski

Nasi ulubieńcy filmowi jako kelnerzy w swojej kawiarni na „Antresoli".

Fot. Zajączkowski



UWAGA! FOTOAMATORZY!



Tym razem do kącika naszego dostała się tytułówka nr. 34 I. K. P. Stało się to w związku z nadesłanym nam przez p. Stefka H. z Warszawy zdjęciem, na którym, tak jak ta artystka ze strony tytułowej, obstawiona swoimi podobiznami, p. Stefek obstawił się numerami znanego nam wszystkim „Kina". Pan Stefek chciał pewnie zobaczyć, czy ma też szanse zdobycia popularności. Owszem koncept mu się udał i dzięki niemu znalazł się p. Stefek razem z artystką amerykańską w kąciku fotoamatorskim.



.... ?
„To Olaf wywołuje film, który dzisiaj skończył".
(Politiken, Dania)

Zdjęcie podpisane „Olaf wywołuje" wywołuje u nas też coś... uśmiech na twarzy. Wielu fotoamatorów zna bowiem te pozycje, a jeżeli niecałkiem te, to w każdym razie podobną. Głowa zakutana w kapę z łóżka, portierę, dywan, narzutę i tym podobne wielkie płachty pościągane skąd się tylko da. Dobrze jest czasem widzieć się w zwierciedle karykatury!

Za każde zamieszczone zdjęcie płacimy od 16 do 20 zł.

Prosimy naszych fotoamatorów, by nie nadsyłali nam błon czyli negatywów.





Pan Knedelek poszedł z żoną do teatru. Dawano „Wolnego strzelca". Kiedy w scenie z dołem wilczym szaleje burza, huczą grzmoty i lśnią błyskawice, szepce Knedelek do żony: — Tę pogodę czułem już dwa dni w kościach.

*

U LEKARZA

— Czy poszedł pan za moją radą i liczył, gdy nie mógł zasnąć?

— Tak, panie doktorze. Naliczyłem do 9375861.

— No i co, potem pan zasnął?

— Nie, potem już był czas wstawać.



— Siostro Mario, czy niedźwiedź także prosi?

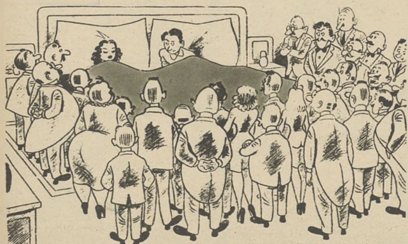
(New Yorker, Ameryka)

*

SŁUSZNIE!

— Olaf, dlaczego okręty chrzci się przeważnie imieniem kobiet?

— A, bo one też tyle kosztują co wy.



— Może powiemy gościom weselnym, że uroczystość już się skończyła i nie ma nic więcej do picia?

(Marc Aurelio)



— Zdaje mi się, że pan zapomniał naciągnąć płótno na ramę.

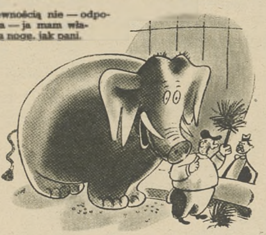
(Bertoldo, Włochy)

*

TAKIE SAME

Podczas przeglądania starych rzeczy w skrzyni wyciągnęła pani jakieś swoje stare, rozdeptane pantofle. Zwraca się do służącej i mówi: — Kasiu, będziesz mogła jeszcze w tych pantoflach parę tygodni pochodzić. Przecież za małe ci nie będą.

— O, z pewnością nie — odpowiada służąca — ja mam właśnie taką dużą nogę, jak pani.



— Jego matka przelękła się dzikiej świni!

(Münchner Illustrierte Presse)

*

ŚMIESZNE!

— To śmieszne! Parę słów wymamrotanych przez urzędnika cywilnego i dwoje ludzi jest sobie poślubionych.

— To jest także śmieszne: kilka słów wymamrotanych przez pogrążonego we śnie męża i małżeństwo się rozwodzi.

*

CZUŁY OJCIEC

Franuś chciał zostać również fryzjerem jak jego ojciec. Pewnego dnia wchodzi do sklepu swego ojca i prosi: — Tatu, pozwól mi też raz golić. Ojciec dumny ze syna mówi: Dobrze, dobrze. Ogol tego pana tam, ale uważaj, żebyś się nie zaciął.

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY NR. 22 (25).

A. DZIAŁ ZADAŃ.

3-chodówka Nr. 22 (25).
J. Scheel (1. nagr. — Westm. Gazette T. 1926).
Czarne: Kd4, Wc1 d2, Gc8 e1, Sg3 h4, piony: b2, b7, c4, e2, e5, f2. (13).
Białe: Kb8, Hb6, Wc3 c5, Ga4; piony: b4, g2, g4. (8).
3-chodówka: 8+13=21.
Mat w 3 posunięciach.

Końcówka (studium) Nr. 22 (25).
A. Troicki (Bohemia 1906).
Czarne: Kh5, Gh3; piony: f3, g3. (4).
Białe: Kh1, Sb8; piony: c7, e3, h2. (5).
Końcówka (=) 5+4=9.
Białe zaczynają i remisują.

Rozwiązanie 3-chodówki Nr. 21 (24)
(Palkoska): 1. W–b6 I. 1... K–e6 2. H–d4 i 3. ×. II. 1... S×f6 2. H×f6 i 3. ×. III. 1... e2 2. H×d2† i 3. ×. IV. 1... inaczej 2. W×b5† i 3. ×..

Rozwiązanie końcówki Nr. 21 (24).
(E. Richter): 1. W–a1! f5 (najlepsze, jeśli 1... W–b8? 2. K–e7!) 2. K–e7 W–f7 3. K–e6 (teraz czarne mają tylko ruchy pionami) f4 4. f3 c5 5. b3 c4 6. b4! (6. b×c4? W–e7 remis) c3 7. b5 c2 8. b6 c1 H 9. W×c1 W–e7† 10. K–f7† 11. K–g5 W–f8 (najlepiej) 12. W–c7 Wf–b8 13. b7 K–f8 14. K–f6 K–e8 15. K–e6 K–d8 16. K–d6 K–e8 (16... W–f8? 17. W–d7† K–e8 18. W×h7 wygr. bez trudu) 17. W–e7† K–d8 18. W–g7 W–f8 (K–e8 19. K–c7) 19. W–d7† K–e8 20. W×h7 K–d8 21. K–e6 K–e8 22. W–g7 poczem b7 i wygrywa.

B. DZIAŁ PARTII.

PARTIA Nr. 41 (44).

Białe: Rzeszewski — Czarne: Santasiere
grana w turn. w Bostonie w r. 1938.
Obrona Grunfelda.

1.	d4	S–f6	22.	W–c5	e6
2.	c4	g6	23.	Wa–c1(9)	a6
3.	S–c3	d5	24.	a4	H–b8(10)
4.	G–f4(1)	G–g7	25.	h3!	G×f3
5.	e3	0–0(2)	26.	G×f3	Wf–d8
6.	H–b3	d×c4(3)	27.	H–b3	f5(11)
7.	G×c4	Sb–d7	28.	g3	K–f6(12)
8.	S–f3	S–b6	29.	K–g2	h6?
9.	G–e2	G–e6	30.	h4	g5?(13)
10.	H–c2	Sf–d5(4)	31.	e4!(14)	f×e4
11.	G–e5	W–c8(5)	32.	h×g5†	h×g5
12.	S×d5	H×d5	33.	G×e4	K–e7(15)
13.	G×g7	K×g7	34.	W–e1	K–d6(16)
14.	b4!	G–f5(6)	35.	G×d5!	e×d5(17)
15.	H–b2	S–c4	36.	We–e5!	W–g8
16.	H–b3	S–b6(7)	37.	Wc–d5!(18)	c×d5
17.	H–c3	H–d6	38.	H×d5†	K–c7
18.	a3	S–d5	39.	H–c5†	K–d7
19.	H–b2	G–g4(8)	40.	H–e7†	K–c6
20.	0–0	c6	41.	H–e6	Czarne poddały się.
21.	Wf–c1	f6			

UWAGI:

(1) To posunięcie zmusza czarne tak samo, jak H–b3, lecz nie dopuszcza do kontrgry.

(2) Z zamiarem zaofiarowania piona dla szybszego rozwoju 6. c×d5 S×d5 7. S×d5 H×d5 8. G×c7. W praktyce strata czasu zużyta na bicie piona równoważy przewagę materialną. Z tego powodu białe nie przyjmują ofiary.

(3) Pozycja czarnych wskutek nacisku białych nie pozwala im na inny plan, jak zajęcie pola d5.

(4) Innym manewrem wypróbowanym w pozycjach analogicznych (z wyjątkiem, gdy biały G stoi na c1) jest G–c4. Lecz niezbyt fortunne rozmieszczenie figur czarnych jest zwykle za wielkim handicapem, aby się na to decydować.

(5) Napróżno czarne spodziewają się, że będą mogły grać c5. Białe jednakowoż wymieniają jedną figurę, aby przeszkodzić temu oswobadzającemu ruchowi.

(6) Czarne zajęte swymi planami strategicznymi osiągają drobne korzyści, które mają tylko przejściowe znaczenie.

(7) Oczywiście próba utrzymania S–c4 przez b5 skończyłaby się tylko fatalnym osłabieniem pozycji czarnych pionów po 17. 0–0 i 18. Wf–c1 itd.

(8) Lepiej było zdaje się zapobiec naciskowi na skrzydle c grając: 19... K–g8 20. 0–0 b6, lecz po 21. Wf–d1 c5 22. d×c5 b×c5 23. G–c4 e6 (jeśli 23... G–e4? to: 24. S–g5) 24. b5 widoki gry czarnych byłyby bardzo nikłe.

(9) Białe wzmocniły swoją pozycję głównie dzięki opanowaniu wieżami linii c.

(10) Neutralizuje skutki ewentualnego b5. Lecz białe kontynuują swoje postępy.

(11) Aby zapobiec spędzeniu swego S przy pomocy e4 (po g3).

(12) Z intencją manewru, mającego na celu postęp pionów na skrzydle K. Rzeszewski wyjaśnia sytuację w bardzo prosty sposób.

(13) Czarne osłabiły już dosyć swoją pozycję, lecz ostatnie posunięcia ich były fatalnymi, gdyż narażają K na bezpośrednie niebezpieczeństwo.

(14) Świetnie zagrano. Białe otwierają pozycję z doskonałym skutkiem.

(15) Król szuka ratunku w ucieczce.

(16) Białe groziły zdobyciem piona. Powrót na stronę K nie jest możliwym: 34... K–f6 35. H–f3 K–g7 36. H–g4 itd.

(17) Jeśli 34... c×d5 35. H–e3† z widokami szybkiej wygranej.

(18) Piękne i mocne zakończenie.

(19) Gdyż 41... H–d6 prowadzi do straty hetmana, podczas gdy 41... K–c7 42. W–c5† prowadzi do mata.







Volker v. Colande





Karin Hardt

Gdy MĘŻCZYŹNI rządzą

Gospodarstwo męskie musi się doczekać w końcu kobiecej reki, inaczej świat biegłby na opak. Podobnie rzecz się ma i w naszym filmie. Młody wieśniak Brinken nie może znaleźć kobiety, która by się nadawała na żonę dla niego. Prowadzi więc sam gospodarstwo mając do pomocy parobka. Jest to gospodarstwo typowo męskie. Pewnego razu spotyka Brinken swą przyjaciółkę z lat dziecięcych Ilzę Röhling, która po kilkoletnim pobycie w mieście wraca do swych rodziców. Oczarowany niezwykłą urodą dziewczęcia, zakochuje się w niej i posyła do jej rodziców wiejskiego swata. Ilza oburzona na tego rodzaju oświadczyny nie chce ani słyszeć o małżeństwie z Brinkenem. Tymczasem odbywa się wielka zabawa we wsi u oberżysty Bakenhusa. Oboje młodzi spotykają się na niej. Ilza unika Brinkena, ucieka przed nim. On nie traci nadziei zdobycia jej miłości, ale zabiera się do tego na swój sposób. Porywa ją i ukrywa w starej przędzalni u siebie. Zniknięcie dziewczęcia jest prawdziwą sensacją dla wsi. Poszukują ją rodzice, szuka domorosły detektyw Bakenhus, szuka policja. Kto dziewczynę znajdzie i czy Brinken zyska miłość Ilzy? W głównych rolach występują: Volker v. Collande jako Brinken i Karin Hardt jako Ilza.

Fot. Ufa